



# PRAWDZIWYCH PRZYJACIÓŁ POZNAJE SIĘ...

# PO KONTUZJI



rys. T. Wilczkiewicz

Krzysztof Piskorz

**Paweł Wiśnia z zadowoleniem przejrzał się w lustrze. Mimo pięćdziesiątki na karku nie miał na sobie ani grama zbędnego tłuszczu, a sylwetki mógł pozazdrościć mu niejeden dwudziestolatek. Nic dziwnego, jeszcze kilkanaście lat temu był czynnym siatkarzem. Po zakończeniu kariery bynajmniej nie zmienił trybu życia na „siedzę w fotelu i kontempluję ścianę z medalami”. A było co podziwiać: medale mistrzostw świata i Europy, dziesięć tytułów mistrza Polski, niezliczone statuetki dla najbardziej wartościowego gracza meczów i całych turniejów. Przez lata był najlepszym polskim przyjmującym.**

**N**awet grubo po trzydziestce, kiedy już nie fruwał tak wysoko nad siatką, dalej był liderem drużyny. I choć nikt nie miałby do niego pretensji, gdyby w pełni sił fizycznych odwdzielił adidasy na kołek, pozostał na parkiecie do czterdziestki – choć coraz częściej wchodził z kwadratu dla rezerwowych. Przez ostatnie pięć lat wspierał kolegów głównie doświadczeniem, sprytem i – już nie atomową, ale wciąż zabójczą – zagrywką. Tylko w ten sposób mógł spłacić olbrzymi dług wdzięczności, jaki miał wobec swojego ostatniego klubu.

Uśmiechnął się na wspomnienie pierwszych dni. Sympatię kibiców zaskarbił sobie już w debiucie, kiedy trener, w akcie desperacji przy stanie 18:24 dla rywali, wpuścił go na zagrywkę. Nieopierzony młokos zaserwował sześć asów serwisowych z rzędu, w pojedynkę wygrywając przegraną, zdawałoby się, partię. Tak zaczęła się przygoda Pawła z dorosłą siatkówką i klubem, z którym wygrał wszystko, co było do wygrania, i w którym – jak mu się wtedy wydawało – chciał pozostać do końca kariery. Do pełni szczęścia zabrakło tylko krążka olimpijskiego...

Na myśl o igrzyskach Paweł zeszytniał i zapatrzył się na pęknięcie w farbie na ścianie. Nie było dnia, żeby nie wracał myślami do tamtego momentu. Sceny zaczęły mu się przesuwać przed oczami niczym na seansie w niemym kinie.

Był upalny czerwiec 2004 roku. Przedolimpijskie zgrupowanie kadry w Centralnym Ośrodku Sportu w Spałę. Wokół lasy, cisza i spokój. Typowy trening techniczny w hali.

Paweł, niczym marvelowski Doktor Strange, wielokrotnie widział w wyobraźni alternatywne scenariusze tamtej chwili. Gdyby kolega zaserwował dwie sekundy wcześniej lub później. Gdyby on przystanął przed wykonaniem treningowego ataku i poprawił ochraniacze na kolanach, tak jak robił to zazwyczaj, a wtedy, z niewytłumaczalnych względów, pominał ten wyuczony nawyk.

Jednak tamtego dnia wszystkie niuanse, jak w opowieści Kubusia Fatalisty z książki Diderota, zebrały się w ten nieszczęśliwy ciąg przyczynowo-skutkowy. Kolega po drugiej stronie siatki zaserwował, a kilka sekund później Paweł podbił piłkę do rozgrywającego i zaczął podbiegać do wysokości. Wystawa była dokładnie taka, jak lubił: na nieosiągalnym dla większości blokujących pułapie niemal 370 centymetrów. Obdarzony, jak mawiają w środowisku, windą w nogach Wiśnia zaatakował z tej wysokości bez większego wysiłku. Tym razem jednak, lądując, nie poczuł pod nogami twardego parkietu, a coś miękkiego i krągłego. To była zaserwowana chwilę wcześniej z naprzeciwka piłka, która odbiła się od ściany i – niezauważona przez trenerów – powolutku potoczyła się po parkiecie, by w tej konkretnej nanosekundzie znaleźć się



dokładnie pod stopą opadającego Pawła. Dalej sprawy potoczyły się szybko: prześwietlenie w szpitalu wykazało zerwane więzadła boczne. Rekonwalescencja – minimum rok. Pawłowi pociemniało przed oczami. To wykluzało nie tylko udział w igrzyskach, ale stawało pod znakiem zapytania całą karierę. Miał już trzydzieści trzy lata, to był ostatni dzwonek, by coś osiągnąć. Potrzebna była natychmiastowa kosztowna operacja. Wówczas tego typu zabiegi oferowały jedynie superdrogie kliniki w Austrii.

I wtedy nadszedł kolejny cios. Kiedy przyszło do zapłacenia za operację, klub Pawła zwrócił się do związku siatkarskiego z prośbą o pokrycie kosztów. Wtedy okazało się, że umowa z klubami nie przewiduje jakichkolwiek odszkodowań ze strony związku. Innymi słowy – zawodnicy mają grać, dosłownie, ku chwale ojczyzny. Działacze rozkładali ręce: takie są przepisy, nasz budżet jest limitowany przez państwo, nic nie możemy zrobić.

Gdy o tej sytuacji dowiedział się prezes klubu, to jemu z kolei pociemniało przed oczami. Komercyjne klubowe ubezpieczenie nie obejmowało meczów reprezentacji. Na dodatek Wiśnia był najlepiej opłacanym zawodnikiem drużyny. Ten problem jednak – przynajmniej dla prezesa – rozwiązał się sam: Wiśnia był w trakcie negocjacji nowego kontraktu – obecny kończył się w sierpniu. Prezes wolał dmuchać na zimne i nie podpisał z Wiśnią kolejnej umowy.

W ten sposób Paweł został na lodzie: bez podstawowego źródła dochodu i z rachunkiem za klinikę. A przynajmniej tak mu się wydawało. Jednak pomoc nadeszła, i to z najmniej

spodziewanej strony. Szumnie nazywany kontrakt był tak naprawdę umową o pracę, a wyjazd na zgrupowanie formalnie był delegacją. Mimo okrutnego potraktowania przez prezesa Paweł miał za co żyć: po złożeniu w ZUS-ie zwolnienia lekarskiego otrzymał bowiem zasiłek chorobowy na czas niezdolności do pracy równy jego miesięcznej pensji, a po jego wykorzystaniu wystarczyło się o świadczenie rehabilitacyjne.

Paweł miał więc środki na czas rehabilitacji, ale nie wiedział, co dalej z jego karierą. Z nogą z miesiąca na miesiąc było coraz lepiej. Z czasem wrócił do lekkich treningów. Oczywiście żadna drużyna z ekstraklasy nie chciała zaangażować rekonwalescencja, więc z początku trenował indywidualnie. Na szczęście pomocną dłoń podał mu jego pierwszy trener z czasów juniorskich, obecnie prowadzący półprofesjonalną drużynę z rodzinnego miasteczka Pawła. Wiśnia z podziwem patrzył na ambitnych chłopaków, z których niejeden łączył treningi z ciężką pracą na etacie. Coraz lepiej się z nimi dogadywał, zagrał nawet w kilku sparingach. W jednym z nich roznieśli do zera drużynę z czołówki ekstraklasy.

Jednak powrót do sprawności oznaczał koniec zasiłku. I wtedy Pawłowi zaświtał w głowie iście szatański plan. Gdy podzielił się nim z trenerem, ten popukał się w czoło. Wiśnia był jednak zdeterminowany i wiedział, że to musi wypalić. U uruchomił dawne znajomości w środowiskach medialnych i biznesowych. I w końcu, tuż przed początkiem sezonu, siatkarskim światkiem wstrząsnęły nagłówki: „Mistrz świata w drużynie z prowincji!”. Małe i senne do tej pory miastecz-

ko zaczęło w dniu każdego meczu przeżywać oblężenie kibiców, którzy zjeżdżali z całego województwa. Pojawił się nawet problem z ich pomieszczeniem. Salka przy jednej ze szkół, w której grali dotychczas, miała raptem jedną maleńką trybunę. Na szczęście miasto właśnie kończyło budowę, z funduszy unijnych, hali sportowej z prawdziwego zdarzenia.

Nazwisko Pawła działało jak magnes także na sponsorów. Wiśnia patrzył z satysfakcją na radość kolegów z drużyny, którzy dostali od znanego producenta odzieży sportowej nowe, profesjonalne (i superdrogie) komplety. Do klubu dołączyli także masażysta i asystent trenera – dawny kolega Pawła z parkietu. Za tą profesjonalizacją poszły oczywiście coraz lepsze wyniki, a Wiśnia został lokalnym bohaterem.

Paweł ocknął się z kontemplowania ściany. Zapiął guziki koszuli i założył marynarkę, ale raz jeszcze uśmiechnął się do wspomnień. „Chrzanić igrzyska” – pomyślał. „Gdyby nie kontuzja, dalej żyłbym pomiędzy tymi niewdzięcznikami, którzy wbili mi nóż w plecy, kiedy tylko powinęła mi się noga. Najwidoczniej moje miasto czekało na mnie, ci ludzie nigdy o mnie nie zapomnieli i dali mi więcej, niż będę w stanie oddać...”

Jego myśli przerwał dzwonek telefonu.

– Wiśnia, słucham.

– Panie burmistrzu, przypominam o dzisiejszej konferencji.

– Dziękuję, pani Anno. Pamiętam, zaraz wychodzę.

„...ale mimo to do końca życia nie przestanę próbować” – dokończył w myślach.

## espresso zaskitkowe



Aby otrzymać zasiłek chorobowy z powodu wypadku przy pracy (z ubezpieczenia wypadkowego), nie trzeba mieć tzw. okresu wyczekiwania (czyli określonej liczby miesięcy, przez które trzeba być ubezpieczonym). Mogą go otrzymać nie tylko pracownicy, lecz także inne osoby objęte ubezpieczeniem wypadkowym, np. osoby wykonujące umowę zlecenia. Zasiłek chorobowy z ubezpieczenia wypadkowego przysługuje w wysokości 100% pensji – przeciętnego wynagrodzenia za ostatnie 12 miesięcy (lub za wszystkie pełne miesiące, jeśli okres ubezpieczenia w chwili wypadku był krótszy niż rok).

Paweł mógł spokojnie wracać do zdrowia, mimo że klub nie przedłużył mu umowy o pracę, bo zasiłek chorobowy przysługuje także za okres po rozwią-

zaniu umowy (po ustaniu tytułu ubezpieczenia wypadkowego). Musiał jednak spełnić następujące warunki: stał się niezdolny do pracy w wyniku wypad-

ku przy pracy w czasie trwania umowy (ubezpieczenia) i ta niezdolność trwała nieprzerwanie po rozwiązaniu umowy (ustaniu ubezpieczenia).



rys. K. Zalepa